



Jaume Cabré

J A Ś N I E P A N



Barcelona trzeci dzień z rzędu zasypiała w zimnej i nieprzytulnej pościeli z mgły. Niektóre wysokie wieże, na przykład kościoła Matki Bożej Sosnowej czy Santa Maria del Mar, przez większą część nocy górowały nad morzem wilgotnej waty. Ale wszystkie dachy bez wyjątku, czy to na pałacach arystokracji, zamożnych posiadłościach czy na domach zwykłych mieszkańców, przez osiem–dziesięć godzin pozostawały przykryte warstwą mgły w dniach, kiedy nie padał deszcz. Ciemne, wąskie uliczki wokół Santa Maria, takie jak Ases, Cirera, Lliri czy Mosques, próbowały utopić dławiącą je mgłę w wodzie, której też miały w nadmiarze. Nawet zwierzęta, króliki i trzymany w sieniach drób, koty i psy, muły, osły i konie, w takie dni były niespokojne i poruszały się ostrożnie. Tylko kilka dachowców zebrało się na odwagę i próbowało się przebić przez mokrą, białą ścianę. O czwartej nad ranem, w ciemności, straż więzienna na placu Blat zaczynała ostatnią wartę na wąskim i wilgotnym dziedzińcu ponurego budynku, pogrążonym we mgle. Do najgłębiej położonego lochu nie docierała

jednak ta niska chmura. Krople ściekające po ścianach musiały pochodzić z wcześniejszych mgieł, od lat przenikających cierpliwie przez grube mury, zmieszanych ze łzami rozpaczyny więźniów, z wściekłości drapiących omszałe ściany. W kącie lochu, w miejscu, do którego schodziło się po kolejnych dwunastu schodkach, znajdowała się cela Andreu, niepokojąco oddalona od wszystkiego, co miało jakikolwiek związek z życiem. Andreu nie był tego świadomy, ale już od dwóch dni czuwał, siedząc nieruchomo w jednej pozycji. Bez snu, w rozpaczyny. Nie dlatego, że postanowił nie zasypiać, ale wyobrażał sobie, że jeżeli zamknie oczy, będzie tak, jakby się poddał, i wtedy oni skorzystają z okazji, żeby dorzucić kolejne oskarżenia albo przenieść go do jeszcze bardziej odosobnionego miejsca, albo zostawią go na zawsze pogrzebanego za życia w tych czterech ścianach z niskim sułtem, gdzie nie było czym oddychać. Bo Andreu już myślał o nich: oni, niebezpieczny, bezkształtny twór, ludzie, którzy mieli wystarczającą władzę, by decydować, kto ma umrzeć, a kto może jeszcze żyć; kogo należy odseparować od reszty, komu dać prawo do wolności... Wolność... To słowo budziło emocje. W imię wolności on i jego przyjaciele zaczęli rozprawiać o wierszach, o poezji, o rytmie, o pięknie, o powabnych liczkach i o sztuce, nasłuchując nowinek ze świata. To, co najlepiej zorientowani opowiadali o poetach niemieckich i angielskich, rozpałało w nich krew. Byli i tacy, którzy cytowali Goethego, choć go nigdy nie czytali. Wszystko to, w połączeniu z konspiracyjnym entuzjazmem, wywoływanym wśród bystrej młodzieży mieszczańskiej i plebejskiej skandalicznymi ideami rewolucjonistów francuskich – wolność, równość, braterstwo – sprawiało, że czuli przemożną potrzebę wyrażania się przez sztukę, żeby wszystkie te idee i konspiracyjny entuzjazm nie rozsadziły im serc. W przypadku Andreu

i wielu innych młodych artystów szło to w parze z opozycją wobec skostniałych akademików. Andreu napisał już ze trzydzieści płomiennych wierszy, a niektóre z nich doskonale nadawałyby się na słowa patriotycznych hymnów na cześć wolności. Również pisał, bo jedno nie wyklucza drugiego, słodkie madrygały i krótkie poematy miłosne, żeby ulżyć sercu zatraconemu w miłości. Och, jakże piękne było życie, kiedy czuł, że ma je przed sobą! O, wolności!... Andreu, który nauczył się wyrażać swój entuzjazm w sekstynach, teraz przetykał ślinę, siedząc nieruchomo w celi przypominającej trumnę. Czuł się znużony. Wołał, płakał i błagał, a to dopiero drugi dzień w izolatce. Czy coś koło tego. Żaden z płomiennych hymnów na cześć wolności nie mógł mu teraz pomóc. Żaden subtelny miłosny poemat nie mógł go wyrwać z tej absurdalnej sytuacji, która wpychała go w nicość.

– Ej, ty. Musisz coś zjeść.

Strażnik więzienny podniósł latarnię i zaświecił prosto w otwarte oczy Andreu. Tak, w tych oczach jeszcze było światło. Strażnik wiedział z doświadczenia, że więzień bez woli życia bardzo szybko umiera. Ale też widział, jak kurczowo trzymają się życia ludzie, którzy przez wiele lat gniją na brudnej słomie w najgorszych celach, a jednak żyją.

– Ej, mistrzu! Co z tobą?

Andreu zobaczył przed sobą coś jasnego i ruchomego. I długą siwą brodę. I bezzębne usta, które otwierały się i zamykały, powtarzając, ej, mistrzu, chrapliwym, zwilgotniałym od przebywania w więzieniu głosem. Usłyszał to wszystko, zanim do niego dotarło, że to o nim mowa.

– Ja jej nie zabiłem.

– Słyszałem to już parę razy. Kogo nie zabiłeś?

Andreu wyjaśnił mu powoli, jakby wspomnianie było wielkim wysiłkiem, że on nie zabił francuskiej śpiewaczki,

że owszem, spędził z nią część nocy, ale później wyszedł i na tym koniec; że następnego dnia przyszli do domu i zapytali, czy on to Andreu Perramon, odpowiedział, że tak, i wtedy go zabrali, nie mówiąc, o co chodzi. A potem formalnie go oskarżyli, przesłuchali, przetrzepali jak materac, no i teraz siedzi w celi sam, chyba ze sto lat. Ej, a gdzie się podzieli inni?

– Jacy inni?

– Taki Holender i jeszcze jeden, z Barcelonety, bardzo gadatliwy...

– Zostałeś odizolowany prewencyjnie.

– Co takiego?

– Słuchaj, nie masz nikogo?

– Co?... – Andreu przez chwilę się zastanawiał, zanim dotarł do niego sens słów starego.

– No, rodziny. Rodziców, braci...

– Mam ojca... Ale on jest bardzo stary, ten mój ojciec... Prawie nie wychodzi z domu. I przyjaciół. Prawda, że przysługuje mi obrona?

Strażnik zamilkł. Co miał powiedzieć. Popatrzył na chłopca z ciekawością i współczuciem, sam zaskoczony, że ma uczucia, które powinny były już dawno wyschnąć na pieprz.

– No, zjedz coś.

– Może ty byś mi pomógł? Jestem niewinny.

Stał wyprostowany jak struna w gabinecie na pierwszym piętrze w dawnym pałacu Generalitat. Lubił w wolnej chwili wyglądać przez balkon, tak jak teraz. Kiedy usłyszał, że lokaj otwiera drzwi, a przed progiem zatrzymują się czyjeś kroki, don Rafel delikatnie odsunął zasłonę, udając, że bardzo go zainteresował wóz przy kościele Sant Jaume, z którego wyładowywano właśnie beczki wina. Don Rafel postanowił

stać tam, dopóki prokurator nie chrząknie. Wtedy odwróci się powoli i powie, och, drogi don Manuelu, nie słyszałem... ależ proszę, proszę wejść, niech pan nie stoi w progu. Ale ten bałwan don Manuel, że też ziemia nosi takich idiotów, nie chrząknął. Pewnie stał tam na środku pokoju, drapiąc się wiadomo po czym. W końcu don Rafel musiał się odwrócić, czerwony ze złości, ale z mocnym postanowieniem okazania cierpliwości temu podwładnemu, który w innych czasach miał czelność myśleć... naprawdę, myślał, że to on bardziej się nadaje na stanowisko prezesa niż don Rafel... Ale cóż, było, minęło. Chrześcijańskie miłosierdzie nakazuje zapomnieć.

– Och, nie usłyszałem, kiedy pan wszedł, don Manuelu! – Gestem wskazał mu krzesło po drugiej stronie biurka. – Ależ proszę, proszę dalej, niech pan nie stoi w drzwiach!

– Jak pan sobie życzy, jaśnie panie. – Za każdym razem, kiedy don Manuel d'Alòs musiał nazwać don Rafela jaśnie panem, przewracał mu się żołądek. A don Rafel o tym wiedział. I czuł satysfakcję.

– Pewnie pana zdziwił ten pośpiech, drogi don Manuelu – uśmiechnął się jaśnie pan – ale sprawa jest poważna. – Don Rafel podszedł do biurka, usiadł i uroczystym gestem położył dłonie na blacie, imitując w sposób doskonały, precyzyjny i wierny ulubiony gest Jego Ekscelencji Kapitana Generalnego.

– W moim zawodzie, jaśnie panie, człowiek jest przygotowany na niespodzianki. O co chodzi?

– Marie de l'Aube Des ors.

– Ach! Właśnie nad tym pracujemy. Można powiedzieć, że nie zajmujemy się niczym innym.

Don Manuel d'Alòs pomyślał, że źle to wróży, bo on już zrobił swoje i prezes nie powinien się wtrącać, dopóki

Trzeci Departament nie przedstawi wniosków. Przekraczał właśnie swoje kompetencje.

– Doskonale, doskonale. – Don Rafel chciał zrobić wrażenie wspaniałomyślnego. Zaczął mu wyjaśniać jak dziecku: – Co my tu mamy: zamordowana kobieta, prawda?

– Tak, jaśnie panie.

– Dwa tygodnie temu.

– Tak, jaśnie panie.

– Doskonale, doskonale. A ta kobieta to skowronek z Narbony, prawda?

– Nie, jaśnie panie. Słowik z Orleanu.

Don Rafel rzucił okiem na leżący na biurku raport i uśmiechnął się do prokuratora.

– No właśnie. A wie pan, gdzie miała śpiewać później?

– Tak, jaśnie panie.

– Ach, tak? – Don Rafel poczuł się zbity z tropu.

– Tak, jaśnie panie. Sam mi to pan powiedział. Miała śpiewać przed królem i królową.

– Doskonale, doskonale. I mamy podejrzanego.

– Tak, jaśnie panie.

– Podejrzanego, który jest winny.

– Jeszcze się nie przyznał.

– Wiem. Kiedy policja zamierza go ponownie przesłuchać?

– Prawdopodobnie w przyszłym tygodniu. Rozprawa i tak nie odbędzie się przed końcem roku...

– Nie, don Manuelu. Nie ma mowy. Niech go przesłuchają jeszcze dzisiaj, niech jeszcze dziś wyciągną z niego przyznanie się do winy i niech sąd się rozpocznie jutro, najwyżej pojutrze.

– To niemożliwe. Procedura...

– Nie przyjmuję tego do wiadomości. Jest duże zainteresowanie – pokazał palcem su t, nie mając na myśli

pałacowego strychu, tylko wyższe instancje – by rozwiązać tę sprawę w sposób szybki i zdecydowany. Z dworem nie ma żartów, drogi don Manuelu, i my wszyscy, pan... ja, audytorzy Trzeciego Departamentu, cały Trybunał Królewski musimy udowodnić, że jesteśmy wiernymi sługami Jego Wysokości...

– Nie sędzę, by Jego Wysokość miał powody, by wątpić w naszą wierność, jaśnie panie.

– Nie chodzi o to, don Manuelu – użył poufatego, perswazyjnego tonu – czy jesteśmy wierni, tylko o dobitne zademonstrowanie tego przed Jego Wysokością. No i właśnie nadarza się znakomita okazja, by to udowodnić. Teraz pan rozumie?

– Zatem dedukuję, że nie będzie prośby o ułaskawienie? – Prokurator się ożywił, bo z profesjonalnego punktu widzenia procedura ułaskawienia zawsze wydawała mu się mętna.

– To nie nasza sprawa.

– W porządku, jaśnie panie.

– Doskonale, doskonale. I przypominam panu, don Manuelu, że dopóki ja będę cywilnym prezesem Trybunału, drugim larem Królewskiej Umowy – teraz wznosił palec teatralnym gestem, identy kując się w pełni z własnym przemówieniem – nie chcę żadnych zamieszek w Barcelonie. Tacy ludzie jak ten Perramon muszą zostać usunięci z naszego społeczeństwa. – Tu spojrzął kątem oka, żeby sprawdzić, jaki wywarł efekt na podwładnym, bo jak szep-tano na sądowych korytarzach, podwładny to wróg, tylko prowizorycznie zneutralizowany.

– Doskonale, doskonale, jaśnie panie.

Od tego momentu don Manuel d'Alòs, prokurator Departamentu Kryminalnego Trybunału w Barcelonie, niewykluczone, że przyszedłszy cywilny prezes, znienawidził tamtego

chłopca, zabójcę słowików, który przysporzył mu tylu kłopotów.

Tym razem chodziło już o przesłuchanie o cjalne, przyspieszone o pięć dni z powodu odgórnego polecenia. A to znaczyło, że morderstwo Francuzki wejdzie na wokandę przed sprawą spornych gruntów za murami, sprawą zawa-lenia się domu przy ulicy Perot lo Lladre, sprawą hollen-derskiego marynarza i sprawą kobiety, która zdemoralizowa-ła trzy niewinne dziewczęta, przed wszystkimi pilnymi sprawami oczekującymi w Trzecim Departamencie na rozpatrzenie. Dlatego naczelny komisarz don Jerónimo Manuel Cascal de los Rosales y Cortés de Setúbal, przez wszystkich podwładnych, w Valladolid, Simancas, Méridzie i Ocañi niezmiennie nazywany Leches, czyli Chuj, zapewne dlatego, że przezwisko było krótsze niż Jeró-nimo Manuel Cascal de los Rosales y Cortés de Setúbal, zdecydował się na budynek więzienny bardziej dyskretny niż gmach sądu. Naczelnik więzienia Barcelony, Aragoń-czyk z Egei, który przed objęciem obecnego stanowiska z powodzeniem zarządzał dwoma burdelami, wyznaczył pomieszczenie nazywane nie całkiem eufemistycznie salą tortur, bo w celi oskarżonego nie zmieściłyby się więcej niż dwie osoby, i to jeszcze zgarbione. Owe pomieszcze-nie było celą nieco większą niż pozostałe, ale podobnie jak one ciemną, wilgotną i cuchnącą. Ponieważ przesłuchanie miało o cjalny charakter, don Jerónimo Manuel Cascal et cetera, et cetera, i das Leites, alias Chuj, zadysponował, że ma w nim obowiązkowo uczestniczyć urzędnik, który bę-dzie później zeznawał przed sądem. To była nowość, ale najwyraźniej otrzymał ścisłe instrukcje i naczelnikowi po-zostawało tylko wzruszyć ramionami, w końcu to nie jego problem. Poprzestał na ustawieniu czterech krzeseł w celi,

po czym zamknął się w swoim gabinecie pod pretekstem nawału pracy. Sekretarz notariusza zażądał czterech świec, bo w środku, jak twierdził, było ciemno, choć oko wykol. Do protokolowania zamiast biurka dostał deskę. Z grymasem niesmaku sekretarz, notariusz, prokurator i audytor przystąpili do obserwowania z bliska pracy naczelnego komisarza, a ten, wspomagany przez dwie przedludzkie kreatury, protoludzi z twarzą goryla, rozpoczął przesłuchanie od bicia na ośle. Przy pomocy tych dwóch milczących asystentów spod ciemnej gwiazdy don Jerónimo zaczął bić systematycznie. Najpierw pięścią w uszy, co powoduje natychmiastową utratę słuchu. Andreu usłyszał jak przez mgłę, że ktoś mówi otworzyłeś drzwi pokoju diwy, ty chuju! i odpowiedział nie, to nie ja, na co tamten não me lixes, nie wkurzaj mnie, jak nie ty, to kto? Naczelnny komisarz z obrzydzeniem marszczył czoło, stosując po kolei ciągnięcie za włosy, kopniaki w nerki, uderzenie w wątrobę i przypalanie świecą – przeciw czemu nieśmiało zaproponował sekretarz, ponieważ brak świecy uniemożliwiał mu pracę – wewnętrznej strony stóp i dłoni, i upokarzające chwyty wargi w dwa palce i wykręcanie do góry, aż wył z bólu i próbował się podnieść, na co jedna przedludzka kreatura pięścią wbiła go w krzesło, a ten drugi splunął w dłonie, zacierając je przed wymierzeniem ciosu, którym złamał podejrzanemu nos. A komisarz szybciej, má foda, kurwa, spieszy mi się, kolanem w dół brzucha i od tej chwili Andreu, ze zmasakrowaną twarzą, gotów był wziąć na siebie wszystkie Zbrodnie Ludzkości, przeszłe i przyszłe. I mówił tak, nie, nie, tak, wypluł zęb i znów odpowiedział tak na pytanie zadane mu przez drugiego audytora Departamentu Kryminalnego, don Marcel.lego Carbó, powtórzone dobitnie po hiszpańsku przez komisarza Lechesa-Chuja, jeszcze bardziej dobitnie po kolejnym uderzeniu, ty chuju,

zbrodniarzu, jesteś zbrodniarzem, na co tamten odpowiedział tak, jak echo, i zamiast się zastanowić, jakie na siebie ściąga nieszczęście, w myślach skoncentrował się na pomieszczeniu. Po raz pierwszy od wielu dni widział ściany celi i uznał, że są odrażające. I tak przy nieocenionej pomocy Lechesa-Chuja i jego dwóch przedludzkich kreatur, na podstawie pytań zadawanych przez audytora, notariusz Trybunału Królewskiego sporządził w języku urzędowym, po hiszpańsku, zgodnie z odgórnym rozporządzeniem, taki mniej więcej protokół. Andreu Perramon, urodzony i zamieszkały w Barcelonie, z zawodu poeta (poeta? ja ci dam poetę, ty chuju!), bez konkretnego zajęcia, udał się do apartamentu w Hotelu Czterech Narodów, gdzie o ara się zatrzymała, w celu kradzieży jej biżuterii. O, tutaj, Ramió (jaśnie pan cywilny prezes, z wyperfumowaną chusteczką przy nosie, czytał na głos w swoim gabinecie w Trybunale Królewskim zeznanie sporządzone dziesięć minut wcześniej na papierze przesiąkniętym krzykami i lękiem). Gdzie o ara zatrzymała się w celu... i Ramió och, oczywiście, jaśnie panie, tu czegoś brakuje, proszę spojrzeć, już jest, brakowało przecinka. Już dobrze, proszę czytać dalej. I sekretarz uśmiechał się do don Rafela, ale sobie myślał, czego się czepia ten pieprzony jaśnie pan, i czytał dalej. Bez większych problemów dostał się do pokoju o ary i już miał ukraść szkatułkę z biżuterią, gdy nagle o ara zbudziła się z zasłużonego snu, w który zapadła, zmożona wysiłkiem, jakim był recital, który się odbył tamtego wieczoru w domu markiza de Dosrius, bardzo dobrze, Ramió, ładnie powiedziane, z zasłużonego snu. Sekretarz zarumienił się zdziwiony, bo don Rafael nie miał zwyczaju nikogo chwalić, i czytał dalej. Kiedy zobaczyła nieznanego, nieszczęsna Maguidelop De og; Ramió, to się inaczej pisze, musi pan to poprawić; tak jest, jaśnie panie. No więc nieszczęsna

Maguidelop De og, przerażona, nie mogła wydać głosu. Jednakże oskarżony w obawie, że jego obecność zostanie ujawniona przed innymi gośćmi Hotelu Czterech Narodów, kiedy De og zacznie krzyczeć, a po śpiewaczce tego kalibru można się było spodziewać krzyku wyjątkowo głośnego i donośnego, próbował uciszyć o arę, zatykając jej usta. Wyżej wzmiankowana diwa stawiała opór temu tchórzliwemu i obrzydliwemu zamiarowi i szarpiąc się, zerwała mordercy z szyi medalion, dowód obciążający w sprawie. On, żeby uniknąć kłopotów, zatopił jej w szyi sztylet, który miał przy sobie. Ta rana wystarczyła, żeby zabić zamordowaną. Zabić zamordowaną? Chciałem powiedzieć o arę, jaśnie panie. Niech pan to poprawi, Ramió. Tak, jaśnie panie. Później, żeby się upewnić, że zamordowana niczego nie wyśpiewa. No nie, Ramió, nie... to trzeba zmienić, bo zamordowana nie może śpiewać, rozumie pan, w czym rzecz. Tak, jaśnie panie. No więc, żeby się upewnić et cetera, przebił jej serce i wytarł ręce w pościel na łóżku zamordowanej. Teraz dobrze, Ramió: teraz faktycznie o ara jest zamordowana: bardzo dobrze, Ramió. Tak, jaśnie panie. No więc oskarżony nie umie powiedzieć, co zrobił z nożem. Trzeba będzie go znaleźć, pomyślał don Rafel, przerywając lekturę w miejscu oskarżony wymknął się po ciemku, korzystając ze spokoju późnej godziny, i zniknął w pustych uliczkach, uciekając przed sprawiedliwością. Po chwili ciszy don Rafel Massó, pod wrażeniem dramatycznego napięcia tej historii, zadowolony, ponieważ don Jerónimo das Leites-Chuj i Cortés de Setúbal bardzo zręcznie ominął okoliczność odnalezienia dokumentów w domu tamtego drania, wyprostował się w fotelu, westchnął, spojrzął na sekretarza i powiedział:

– Jak to dobrze wiedzieć punkt po punkcie, jak przebiegały wydarzenia. – Sekretarz, lizus, skłonił się uniżenie

i don Rafel wymierzył w niego palec. – Jak to dobrze, kiedy prawda wychodzi na światło dzienne, Ramió.

Jaśnie pan, po wygłoszeniu tej sentencji, wydmuchał nos, jak ktoś, kto chce się pozbyć brudu, jaki wdychał, pochylając się nad papierem, i dał znak sekretarzowi, że może już odejść.

Mistrz Perramon nie wierzył własnym oczom. Przed sobą miał uosobienie bezużyteczności na dwóch kończynach, gnuśność z nosem i uszami, abulię ubraną w płaszcz ze śmierdzącego lcu i perukę nadgryzioną przez mole. Błyskotliwy adwokat z urzędu, którego Trybunał oddał do dyspozycji Andreu, wyjaśniał mu właśnie, że niechęć oskarżonego do współpracy tylko utrudnia rozwiązanie sprawy.

– Moim zdaniem on już jest stracony – podsumował. – Poza tym nikt nie ręczy za mojego klienta. Szkoda czasu i energii.

– Ręczy za niego don Ferran Sorts – zaimprovizował.

– Nie znam.

– To sławny muzyk.

– Muzyk!... – Adwokat pogradliwym wzdęciem warg wyraził swój stosunek do muzyków. – Mój panie, kiedy mówię o poręczeniu, mam na myśli kogoś poważnego. Proszę mi tu nie zawracać głowy, jestem bardzo zajęty.

– Ale... biedny chłopiec... jest bezbronny. Pan nic nie chce dla niego zrobić!... To mój syn!

Wtedy adwokat z urzędu otrząsnął się z lenistwa i wstał gotów do retorycznych popisów. Wytknął przestraszonemu mistrzowi Perramonowi, że co mi tu pan imputuje; przecież on jest od tego, żeby bronić interesów klienta; przecież jest fachowcem w każdym calu i mimo fatalnego położenia oskarżonego zrobi wszystko, co możliwe i niemożliwe, żeby uniknął stryczka. Co pan sobie wyobraża, człowieku! I już

niedużo spokojniej, zmieniając ton, jak dawniej, kiedy w młodości pracował w Trybunale i miał jakieś ambicje, postąpił dwa kroki w stronę mistrza Perramona i zatrzymał się najbliżej, jak się dało. Niemal szeptem, nachylony nad starcem, pluł mu do ucha słowa:

– Pański syn jest w najlepszych rękach, proszę pana. Jeżeli byśmy jednak przegrali, nikt nie będzie mógł powiedzieć, że to z mojej winy. Nikt! – I nie zmieniając tonu ani postawy: – Żegnam, szanowny panie.

– Masz, sam przytrzymaj.

Andreu wziął mokrą szmatę podsuniętą przez strażnika i przyłożył do oka. Tymczasem mężczyzna oglądał ślady oparzenia na drugiej ręce w świetle świecznika.

– Co za dranie – wyszeptał. – Musi cię bardzo boleć.

– Tak... Ale ja jej nie zabiłem.

Mężczyzna wyszedł z celi i zostawił go w ciemności. Szczęk klucza w obu zamkach, w kracie i w drewnianych drzwiach był tak szybki, jakby klucz przekreślono bez przekonania, i Andreu, siedząc na ziemi, oparty o ścianę, pierwszy raz pomyślał poważnie o ucieczce. Ale jego samego rozśmieszył ten pomysł: przebywał w ciemności, w całkowitej ciemności, nie wiedział, w którą stronę należy się skierować, nie wiedział, ile po drodze jest drzwi i strażników, ile murów i krat musiałby sforsować... a przede wszystkim był tak zmaltretowany, że nie miał siły się ruszyć.

– Ja jej nie zabiłem – podsumował.

Usłyszał jakiś szelest w celi. Pewnie szczur. I znów klucz w zamku. Pewnie strażnik. Naprawdę nie czuł się na siłach, by podjąć jakiegokolwiek działanie przypominające ucieczkę.

– Pokaż to ramię – powiedział mężczyzna.

– Gdzie byłeś?

– W domu. To olej na oparzenia. Będzie trochę piekło.

– Mieszkasz tu?

– Można to tak nazwać. Z żoną.

Chciał mu powiedzieć, jak bardzo mu przykro, że musi być okropnie żyć w takiej norze... ale oszołomił go piekący ból wywołany przez olej.

– Mówiłem, że będzie bolało. Dodałem pieprzu. Trzeba działać, żeby rana się nie paskudziła.

– Co za różnica, skoro i tak w końcu mnie zabiją.

– Nigdy nie wiadomo.

– Dlaczego to robisz? – Próbował usiąść, żeby spojrzeć strażnikowi w oczy.

– Zostaw szmatę na ranie.

W innych okolicznościach można by się pośmiać: jedna szmata na oku, druga na ramieniu, wyglądał jak Łazarz... ale sprawy zaszły tak daleko, że nie było mu wesoło.

– Dlaczego to robisz? – zapytał ponownie.

– Idę już. Lepiej, żeby mnie tu nie przyłapali żołnierze.

Znów został sam na sam z ciemnością. Nie minęła godzina, kiedy ból żeber stał się nie do zniesienia, a w drzwiach celi pojawiło się dwóch mężczyzn. Jeden z nich, w migotliwym świetle świecznika, który trzymał strażnik, oświadczył, że następnego dnia odbędzie się rozprawa. Drugi, chyba jego obrońca z urzędu, wymamrotał niewyraźnie, żeby się nie martwił, i że jutro się spotkają. Andreu milczał, bo w tym momencie zebrało mu się na wymioty, bolało go całe ciało i od najmniejszego choćby hałasu pękała głowa.

– Ten człowiek jest chory – wtrącił się strażnik.

– Już przekazałem wiadomość więźniowi – odparł pierwszy osobnik. – Nie mamy tu nic więcej do roboty. – I zanim Andreu zdążył się obejrzeć, wszyscy trzej znikli. Dopiero wtedy zwymiotował wszystko, aż do ostatniego słowa, i strażnik zdecydował, że sam się nim zaopiekuje,

biedny chłopiec, coraz bliżej szubienicy, a taki młody, co za podły świat.

Andreu Perramon, więzień królewski, lojalny poddany Korony, rozpoczynał szesnastą noc w niewoli, z otwartymi oczami, bez szans na sen, nieco zamroczony argumentami, jakimi go zarzucili oprawcy, podwładni komisarza Setúbala.

Z jaką łatwością spada się na dno piekła zniesławienia!
Jak szybko pełnia życia może stać się
igraszką śmierci!

Barcelona, koniec 1799 roku. W pokoju hotelowym zostaje znaleziona śpiewaczka, słowik z Orleanu, z podciętym gardłem i przebitym sercem.

Oskarżenie pada na młodziutkiego poetę, który spędził w jej pokoju namiętne chwile, ostatnie w jej życiu.

Ciąg niefortunnych wydarzeń splecie ze sobą losy poety z losami wszechwładnego sędziego Massó, prezesa Trybunału Królewskiego w Barcelonie, człowieka ogarniętego obsesją władzy, zafascynowanego astronomią, a także, na nieszczęście dla siebie, urodą młodych kobiet. Jaume Cabré wiernie odtwarza klimat epoki i powołuje do życia wiele postaci wplątanych w sieć namiętności i intryg, korupcji politycznej i walki o władzę.

Jaśnie pan to niezwykle kryminal i przełomowa powieść w karierze katalońskiego pisarza, pierwsza przyjęta z entuzjazmem przez czytelników i z uznaniem przez krytykę. Dzięki niej Jaume Cabré otrzymał szereg nagród katalońskich.

Jaume Cabré urodził się w Barcelonie w 1947 roku.

Od lat uznaje się go za najwybitniejszego pisarza katalońskiego. Jest autorem wielu powieści, zbiorów opowiadań, esejów literackich oraz scenariuszy filmowych i telewizyjnych. Należy do Instytutu Studiów Katalońskich, a jego utwory, wysoko oceniane przez czytelników i krytyków, były wielokrotnie nagradzane, filmowane i tłumaczone. W 2013 roku nakładem Wydawnictwa Marginesy ukazała się jego powieść *Wyznaję* (2011), a w 2014 *Głosy Pamano* (2004).

www.marginesy.com.pl



9 788364 700330

cena 44,90 zł

PATRONAT MIEJSCY



BOOKLIPS.PL IIII

